Nr. 43. We Lwowie dnia 22. Października 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

PORACHUNKI.

3)

(Indywidualizm wybujały. — „Szkoła krakowska“.)

»W sferze myślenia abstrakcyjnego — pisze Chmielowski w swoich »Pretensjach indywidualizmu« (Ateneum r. 1895) — granice swobody indywidualnej niewątpliwie muszą być jaknajrozleglejsze, gdyż jedynie przez wypowiedzenie najróżnorodniejszych poglądów i mniemań możemy poznać usposobienie ogółu ukształconego, a więc z natury rzeczy uzdolnionego do kierowania sprawami powszechnemi. I rzeczywiście historja nam wskazuje, że lubo i w tej sferze nie odbyło się bez prześladowania indywiduów, głoszących opinje sprzeczne z zapatrywaniami tradycyjnemi, to przecież stosunkowo najwięcej jeszcze było w niej sposobności do stwierdzenia praw indywidualizmu. Upominać się o nie u ogółu potrzeba zawsze i ciągle«.

»Inaczej rzecz się przedstawia, gdy przechodzimy do sfery działania, w jakimkolwiek zakresie — publicystycznym, artystycznym, czy etycznym. Ponieważ chodzi tu nie o interesa jednostki, lecz o sprawy ogólne, muszą zatem być uwzględnione prawa indywidualne i prawa zbiorowe. Ztąd to wytworzyły się stronnictwa i szkoły, grupujące się w pewnym określonym celu lub przynajmniej około pewnego hasła. Indywidualizm czuje się przez to pokrzywdzonym i pragnie zaznaczyć potrzebę uwzględnienia i jego głosu«... »Lecz indywidualista, choćby najbardziej krańcowy, jeśli nie chce pozostać własnym tylko słuchaczem swoim, a pragnie przemawiać — jeżeli nie do ogółu, jak się zwykło mówić, to do pewnej grupy społecznej — musi baczyć na stopień ukształcenia, uczucia, poglądy, przekonania tej grupy, a nieraz nawet musi się liczyć z jej uprzedzeniami i przesądami. Indywidualizm czysty w dziedzinie tylko indywidualnego myślenia i czucia może być kosekwentnie przeprowadzony; w zetknięciu się z życiem zbiorowem, musi koniecznie prawa tego życia zbiorowego uwzględnić«. »Życie społeczne jest nietylko bojowaniem, jak je scharakteryzowała księga Hijoba, lecz jest także szeregiem ustępstw wzajemnych. Gdyby można było pomyśleć sobie istnienie ludzi pojedyńczych, w żadne nie wiążących się grupy, od rodziny poczynając, wówczas tylko mogłaby być mowa o zachowaniu całkowitej i niczem nie skrępowanej indywidualności«.

Tymczasem cóż wyście przynieśli w sferze myślenia indywidualnego? Subjektywizm uczucia, spowinięty chytrze w formę tajemniczą jakiegoś neo-mistycyzmu na podłożu wyuzdania zmysłowego, w którym zresztą nie samodzielność góruje, lecz zarozumiałość. Boć »pogardliwie traktować wszystko, co ludzkość w rozwoju swoim na polu myśli i twórczości zdobyła, wierzyć, iż tylko siłą talentu indywidualnego — może całkiem urojonego — stanie się odrazu na szczytach niedościgłych, na których nie było jeszcze stopy ludzkiej — to zarozumiałość tak bezbrzeżna — mówi dalej Chmielowski, — że jej u człowieka ukształconego i choć trochę rozsądnego pojąć niepodobna, a ze stanowiska pedagogicznego i społecznego potępić ją stanowczo wypada!«

Tak jest na szczytach życia. A na padole?... Na padole pogarda pracy, tej »pracy, która — mówiąc jeszcze raz słowami Chmielowskiego — ani na chwilę ustać nie może, pracy ciągłej, mozolnej, wywalczającej zabezpieczenie materjalnego i duchowego bytu społeczeństwa... Do tej pracy zaprzęgnąć się oczywiście muszą owe masy, które przygotowują geniuszów i przyjmują ich otwartemi rękoma, nie zważając na ponure cienie nocy lub na piekące promienie słońca. One uprawiają grunt pod przyszły zasiew i potem swoim skrapiają ziemię, z której kiedyś owoce łatwiej będzie jednostce genialnej zbierać, one odrzucają z drogi kamienie ciężkie, któreby pochodowi uroczystemu wielkich ludzi przeszkadzać mogły; one przynoszą cegły na gmach wiedzy i cywilizacji i budują podwaliny, ażeby pod przewodnictwem

zdolnych architektów wznieść piętra i szczyt wspaniały... Trud i mozół jest po większej części udziałem biednych, nieraz lekceważonych, a zazwyczaj fałszywie ocenionych. Kto rozumie znaczenie takiej pracy, stanowiącej podstawy całej cywilizacji, ten nie będzie pogardzał pracą mirmidońską, trudem miljonów, nie będzie płakał łzami krokodylemi nad powszechnym upadkiem oryginalności; nie będzie się apatycznie usuwał od jakiegokolwiek przedsięwzięcia dlatego, że nie widzi po jego ukończeniu wieńca chwały dla siebie w Panteonie wielkich mężów«.

Chcecież wy być członkami czynnymi tego społeczeństwa, przyczyniającymi się w czemkolwiek do podniesienia jego bytu materjalnego i duchowego, czy też pasorzytami zwyczajnymi, które na swój sposób jeno przetrawiają jego soki żywotne? Wszakże i jemioła, wiecznie zielona, ma swoje w naturze usprawiedliwienie: warunek jednak, aby drzewa: topola, lipa czy wiąz, nie potrzebowały dla podtrzymania wiecznej jej zieloności oddawać wszystkich swoich soków żywotnych. Tymczasem jemioła żąda od topoli, lipy, czy wiązu, na których żyje pasorzytniczo, aby one krążeniu swoich soków nadały inny kierunek, gdyż jej z tem będzie lepiej, jej barwa stanie się przez to zieleńszą, wyda się piękniej, świetniej. Tak chce »jemioła« indywidualizmu, a cóż dopiero »jemiołuszki czubate«, żywiące się jej jagodami! Rzecz niepodobna do wiary, a jednak prawdziwa! Posłuchajmy.

Dopóki p. Stanisław Wyrzykowski, od którego »rąk wzniesionych bije wszechmocy jaśnienie« grozi w swoim »Śnie twórczym (»Życie Nr. 15), iż strąci, gdy »zechce wszechświata krąg w ciemne nicości bezdennie«, można, choć »w jego piersi broczy się krwią i kona serce wszechświata« spać spokojnie. Megalomanja jednostki na papierze nie działa tak zabójczo na społeczeństwo, jak się to »prawdziwie wielkim« zdaje.

Dopóki p. Stanisław Przybyszewski, występując w obronie własnej, (Pro domo mea) i upominając się o »krzywdy, wyrządzone prawdziwie wielkim«, domaga się od krytyki w »Życiu« (Nr. 13), które jest organem szczupłego zresztą grona pisarzy-dekadentów dla czytelników-dekadentów, »mniej rozgłosu, mniej plotek, uwag złośliwych, mniej dowcipu, bo dowcip tak tani, mniej sensacji (!!), bo tem tylko społeczeństwo się bałamuci, a natomiast więcej godności, więcej powagi i więcej szczerości«, można, machnąwszy ręką, odpowiedzieć tonem obojętnym: Medice, cura te ipsum! Kto sam bałamuci społeczeństwo nastrojem potwornym swych pożądań i igraszkami słów szumnych, jak: »naga dusza«, »metamuzyka«, »absolut«, ten nie ma prawa żądać od krytyki, aby ona nie chłostała biczem logiki i sarkazmu wybuchów i wybryków jego „szczerości wyuzdania«. Lecz to żądanie tylko pro domo sua: niech będzie!

Dopóki p. Władysław Jabłonowski w »Głosie« okłada kataplazmami współczucia filozoficznego wszystkie te »rany oczu«, wszystkie te »ręce łkające«, wszystkie te »serca ociekające smutkiem«, wszystkie te »myśli przekrwione« i wszystkie te »dusze drgające twórczą rozpaczą gwiazd«, można z zachwytem prawie przyglądać się temu opatrywaniu chorych. Garde malade dekadentyzmu dokonywa tu czynu miłosierdzia — a czynów miłosierdzia nie potępia się zgoła.

Dopóki p. M., który »w zasadzie nie ma nic przeciw ciętości i dowcipowi, o ile naturalnie do ich preparowania służyć będzie sól atycka, nie sól kuchenna«, nazywa w »Tygodniku Ilustrowanym« (Nr. 32) krytykę dosadną dekadentyzmu »ordynarną szykaną i żakowskiem błaznowaniem«, dlatego, iż z niej przeziera pewna »doza żółci, jadu i temperamentu«, można też z uśmiechem, napół ironicznym, napół pobłażliwym, wysłuchać uwag przykrych, nie bacząc, w kogo mianowicie amator »stylu poważnego w polemice« tak gwałtownie godzi. Gdyby to o mnie np. chodziło, przypomniałbym panu M. słowa, jakie Kornel Ujejski, usprawiedliwiając się z »ciętości« swojej krytyki Wincentego Pola, wypowiedział w »Listach z pod Lwowa".

»Często gorycz moja, ironja i sarkazm niemiłosierny nie idą mi z serca, ale z uznania potrzeby; słodycz i grzeczność gubią nas; sypię więc żar ognisty pod zmartwiałe nogi cudze, ale sam swoją bosą, czującą nogą, stąpam po tym żarze i boli on mię żywiej, niż tamtych«.

Rzecz szczególna tylko, iż p. M., który, jak na »krytyka poważnego« przystało, pozbawiony jest »ciętości«. »dowcipu«, »ironji«, »temperamentu« i »tak zwanego stylu« (?!), słowem wszystkich wad kardynalnych »kondotjera dziennikarskiego«, zapomniał się jednak w końcu i swoje uwagi nad »powagą krytyki« zaopatrzył w wyrażenie tak silne i ubliżające, jak »żakowskie błaznowanie", w którem właśnie czuć sól glauberską, nie zaś atycką.

Mniejsza jednak o to; jest to spór osobisty między jednostkami, a tym wolno przecie rozprawiać się językiem, na jaki stać ich dusze indywidualne, a nawet milczeć.

Inna rzecz, gdy idzie o ideały społeczne. Tu już »powagą stylu« nie można pokryć, ani pokrywać zarazka myśli, siły niszczącej, samolubstwa bezbrzeżnego. Bo »nieraz powaga — jeszcze słowa Ujejskiego — jest jak kostium błyszczący, co kryje trupa gnijącego; kostium oblany perfumami, a ze słowa wieje dżuma".

(Dokończenie nastąpi).

Antoni Sygietyński.

MOMENT.

4)

NOWELA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

— Dlatego więc wyjechałaś... zniknęłaś?...

— O, nie! Moim jest wyraz: zniknął! Ja to od obudzenia się do zaśnięcia, od tylu już dni mówię sobie: „zniknął!“ Kiedy pan pojechał do rodzinnych stron swoich i tak nieskończenie długo nie powracał.. cóż dziwnego? najdroższy brylant tego wysokiego gniazda!... wieść przyleciała, że w pierścień życia pana oprawioną ma być perła...

— Uwierzyła pani?

— Uwierzyłam. Nie jest-że to prawdą?

— Prawdą jest, że przyszła chwila zwątpienia i męki serdecznej, w której powiedziałem sobie: dosyć tego! Targnę z całej siły nicią, coraz głębiej wrzynającą się w serce, i zerwę ją... puszczę się na poszukiwanie Lety i zapomnę!.. Czasu wiele upłynęło... nic nie zerwałem, nie zapomniałem, wróciłem i to miejsce, na którem pozostało wszystko, co mi być może ukochane, pożądane, znalazłem puste! Odjechała! uciekła! Gdybym miał skrzydła, leciałbym; że ich nie mam — człowiek biedny! więc oślepły od przestrachu, z pośpiechu ludzi roztrącając, wpadłem do wagonu i leciałem na skrzydle pary...

— A perła? — zapytała nieśmiało.

— Zostawiłem ją do oprawienia w pierścień życia z brylantem innym, najpewniej drogocenniejszym nademnie.

— Tak! — przeciągle wymówiła. — Więc tak! A ja myślałam...

Zanurzyła się cała w cieniu i cicho dokończyła:

— Że ta nić, na której zawiesiłam życie, była — pajęczyną!

— I dlatego porzucając wszystko, wyjechałaś w tę podróż dziwną! O! niedobra! nieufna! Tak mało wierząca potędze własnego czaru, a tak łatwowierna dla latających po świecie wieści lekkomyślnych! Odjechać! I dokąd jeszcze? Na tę pustynię! Na ten koniec świata! Do tego zakąta pustego, brzydkiego... Czy to dobrze? Czy tak czynić powinny istoty tak miłe światu, tak śliczne, a nadewszystko takie dobre... dobre!..

Ręce jej pocałunkami osypywał, a potem, rozglądając się dokoła, wesoło zawołał:

— Ależ ten zakąt nie jest wcale brzydkim! Przeciwnie! Jest to miejsce wprost zaczarowane! Przyozdabianiem go trudnią się chyba jakieś dobre wieszczki!

Dobrą wieszczką był księżyc, który napełniał pokój światłością niewymownie przejrzystą i słodką, wszystkie jego brudy i plamy przerabiając na czarnoksięskie ozdoby. Podłogę zaścielał kobierzec z blado-złotych sieci upleciony, po ścianach, jak gnomki lotne i figlarne migotały błyskotliwe promyki i kółka, u progu, źdźbła słomy jaśniały jak wyrzucone z bajecznego skarbca sztabki metalów drogocennych, w rozbitym kloszu starej lampy żarzyło się ognisko iskier, od którego drżących blasków płatki papierowych kwiatów ożyły żółtością gorącą, bielą śnieżystą, i jak w powiewie wonnego wiatru, zdawały się drżeć... wonnego wiatru, bo przez okno, z coraz świeższym oddechem wieczoru, wlatywał coraz silniejszy zapach rezedy. Dobrą też wieszczką, cudnie w tej chwili strojącą ten pokój, była radość wielka, bijąca z jego pięknej twarzy, której rysy, kipiątkiem młodego życia przepojone, śmiać się lubiły, cierpieć nie chciały. Znalazł to, co mu przepadło, nawiązał to, co wydawało się zerwanem, i radość, na spółkę z księżycem, otoczyła go czarami zdobytego raju.

Z nią jednak było inaczej. Silniej ścięta lodem życia, nie tak łatwo tajała w cieple wschodzącego słońca; cierpienie silniejsze wrosło w nią głębiej i pierwsza minuta szczęścia wyrwać go z niej nie mogła. Nie było uśmiechu w jej głosie, gdy z cienia, który ją okrywał, mówić zaczęła:

— Pan mówi: „w tę dziwną podróż! Była ona jedyną, którą przedsięwziąć mogłam. Pan wie: wszystkie drogi stoją przedemną otworem. Dla ptaka, który wysoko lecąc, pięknie śpiewa, wszystkie bramy i drogi — pełne żeru stoją otworem. Ale ja nie chciałam już nikogo, niczego, oprócz wolności dla ust, które bolały od uśmiechów koniecznych, i dla wzroku, który patrząc na życie nudniał i szarzał, bo życie stało się nudne i szare, odkąd pan z niego zniknął...

— Pan! — przerwał z wyrzutem.

— Tak długo wyraz ten stał pomiędzy nami, że odrazu — nie mogę... Jechałam tam, gdzie mogłam najwięcej milczeć i najmniej widzieć życia, bo doprawdy, przez tak wiele czasu razem z panem przebywając w jego kątku, tak strasznie przywykłam mówić sobie o wszystkiem ujrzanem: jemu to pokażę! o wszystkiem usłyszałem: jemu to powtórzę: o wszystkiem trudnem: dla niego to wykonam! i o wszystkiem miłem: z nim się tem podzielę! o każdej myśli: jemu ją powierzę! o każdej pieśni: jemu ją zaśpiewam! że... gdy mi pana

zabrakło, już nie wiedziałam, co mam czynić z ziemią i niebem, z samą sobą, ze swojem sercem, ze swoją myślą i pieśnią... Ach, niedobry! dlaczegoż nie powiedziałeś mi, że to była tylko próba rozstania się na zawsze? Byłabym nie mówiła sobie: „już nigdy!“ Niekiedy czyniłam ci w myśli wyrzuty: żeby tak wejść w czyjeś życie, tyle w niem zająć miejsca i — zniknąć! Żeby tak zabrać sobie czyjś wzrok, słuch, pamięć, nadzieję — i zniknąć! Żeby tak uczynić, że komuś nikt już na świecie podobać się, ani miłym być nie może — i zniknąć!... O, Boże! ja tak mówić pewno nie powinnam, ale w milczeniu to wezbrało i przyjechałeś do mnie... za mną... wróciłeś, więc powiem! Tyś mi był światłem oczu, czarem serca, uśmiechem ust i powabem życia, które bez ciebie rozumieć przestałam. Byłeś celem, ku któremu płynęły myśli i godziny moje, siłą pieśni, gdy śpiewałam, wschodem radości, gdy otwierałam oczy na dzień wchodzący, i ostatnim obrazem, który tkwił pod powiekami, gdy zamykałam je do snu, pełnego snów o tobie! Aż nagle: nie ma! Zniknął! Był snem, który się prześnił, strofą, która przebrzmiała, mirażem, który zaszedł drogę, aby gorzkim prochem wspomnień opaść na piaski pustyni! Co czynić? Umrzeć? Ty wiesz! ja wierzę w Boga, który dał życie, a po co? spierać się z Nim nie wolno? I mam matkę... siostry... szczególniej matkę... Więc żyć? Dobrze; ale tylko tam, gdzie wolno milczeć najwięcej, nie uśmiechać się wcale i życia widzieć najmniej. Jechałam do rodzinnego domu, pustego, prawie nikomu niewiadomego, szczęśliwa jeszcze tem, że posiadam ten port wolności dla serca i myśli, które nic innego czuć i mówić nie chciały, oprócz tych krótkich słów: niema! zniknął!

W cieniu niewidzialna, zaniosła się ciężkim płaczem, a on z radością bez granic mówić zaczął:

— Jestem! Ależ jestem już przy tobie! Ucisz serce, które nie może przestać płakać. Czy podobna? Czy podobna, abyś aż tak... tak niezmiernie... W najzuchwalszych rojeniach moich, nie śniłem, abyć aż tak... O, szalony! wątpiłem .. byłem nawet zwątpił zupełnie... O mało w dumie mojej, a twojej czystości nie utonęło nam szczęście! Niechże błogosławioną będzie chwila, w której puściłem się w pogoń za tobą!

— Niech błogosławioną będzie każda, która cię do mnie przybliżała!

Potem zaczął prosić:

— Wstań i wyjdź na światło. Jesteś pogrążona w cieniu i widzę cię niezupełnie. Czy to światło księżyca pokazuje cię tak mizerną i zmienioną? Nigdy, nigdy już nie zniknę, aby kwiat mój nie wiądł. Tak dawno nie widziałem cię i nie słyszałem twego śpiewu. Twój śpiew, to skrzydła, na których wzbijałem się nad samego siebie, zdrój czysty, w którym serce stawało mi się lepszem i dusza zdrowszą. Może cokolwiek zaśpiewasz? To, co najwięcej lubię, pamiętasz? Zaśpiewaj!

Dobrze — odpowiedziała; — czuję w sobie morze tonów, któremi chcę dziękować Bogu, że mi cię oddał, i tobie, żeś — nie zniknął!

Z morzem tonów dziękczynnych w piersi powstała i z ręką w jego dłoni, cała w idyli świateł księżycowych, woni rezedowej i swojej szczęśliwej miłości, szła ku oknu, otwartemu na przeczyste i promieniste sklepienie nieba.

Wtem, tuż nad sobą, usłyszała głośne, szorstkie, chrapliwe dźwięki.

— Może samowar przynieść?

Przerażonym ruchem podniosła głowę i zobaczyła stojącą nad żółtą kanapą Gitlę, w krótkiej spodnicy i podartym kaftanie, która w ciemnych rękach trzymając koniec olbrzymiej kosy czarnej, powtórzyła:

— Może samowar przynieść?

Ze wzrastającem przerażeniem, prawie z obłąkaniem zawołała:

— Nie chcę! Dziękuję! Nie potrzebuję niczego!

Dziewczyna odeszła, pokój pozostał pusty. Były w nim światła księżycowe, woń rezedy, źdźbła słomy, błyszczące u progu, jak sztabki srebra i złota, w rozbitym kloszu ognisko iskier i wskrzeszone przez jego migotliwe błyski kwiaty papierowe, ale człowieka żadnego nie było.

Spała i śniła....

A rzeczywistością pozostało to, że zniknął.

Piękny, świetny, wymowny, zapewne wesoły, żył kędyś, ale już nie dla niej. Nietylko przez śmierć cielesną ludzie ludziom umierają, ale i na różne sposoby inne. Żył kędyś, zapewne szczęśliwy, lecz ją odumarł i z tamtego świata przyszedł we śnie poprosić: zaśpiewaj! Śpiew jej lubił niezmiernie i było to właśnie przyczyną złudzenia, które padało jej na oczy gdy roiła, że ją samą nad wszystko w świecie polubił. Ten śpiew był dla niej skarbem nieprzebranym, gwiazdą odznaczenia którą Bóg nad czołem jej zapalił, puklerzem, którym osłonił jej słabe serce.

Lecz gdy on odszedł, mniemała, że wszystkie tony i wzloty, uniesienia i natchnienia, odleciały ją także na zawsze. Pod wielką biedą, która, jak postać kamienna, legła na jej sercu, stało się w niem cicho, jak w pustym sarkofagu. Ani echa żadnej pieśni, ani chęci wywołania jej z próżni duszy dla pustki świata. Nagle przyszedł we śnie i poprosił: zaśpiewaj! a prośba jego nawet wyśniona, wskrzesiła w niej to, o czem myślała, że umarło. Wstała i z opuszczonemi na suknię rękoma, jak lunatyczka szła ku jaśniejącej za oknem tarczy księżycowej. Po co Bóg w życiu odbierając na zawsze, we śnie zwraca na chwilę to, co najmilsze?

Może po to, aby miecz wyostrzony przez złudę, bódł śpiewaków do śpiewu.

Stanęła przed oknem, oczyma powiodła po niebie i ziemi, opuszczone ręce silnie splotła i z piersi jej wybuchnęła ogromna fala tonów. Śpiew, jak krew, czerwony i wrzący, wytrysnął z jej rany serdecznej, której wargi otwierały się i zamykały ruchem nieukojonym, bo nie spływała na nie żadna kropla balsamu. Był to krzyk, ale ujęty w formę wielkiego piękna i kaskadami tonów wypowiadający światu tę najprawdziwszą prawdę, którą jest cierpienie. Bo wszystko jest ułudą, tylko ono jest rzeczywistością, wszystko może ominąć, tylko ono nie zawodzi, wszystko przemija, ono trwa, wszystko zjawia się gdzie niegdzie, ono jest wszędzie. Śpiewaczka śpiewała je, śpiewając samą siebie: głos jej przeczysty i potężny roznosił w srebrnem powietrzu powszechny tragizm istnienia. Biły z niego groza i męka; ze srebrnych przestworzy, wśród których wołał, szalał, rozpaczał, głębokiemi tonami konania opadł na ziemię i wił się po niej, jak po łożu tortur. (Dok. nast.)

LISTY

J. LELEWELA DO J. N. JANOWSKIEGO

3) **z lat 1834—59** *).

20 stycznia 1849.

Właśnie zamierzałem, szanowny Obywatelu, jako zamieszkałego w Paryżu, rozgoszczonego po całej Francji, prosić, abyś znalazł mi wydawcę na gotowe od lat dwu dzieło moje *Géographie du moyen âge étudiée*, kiedy wzajem coś podobnego z twej strony dostawił mi przyjazd Białkowskiego.

Białkowski przejeżdżał 14 b. m., jak data jego listu okazuje. Nie widzieliśmy się. Pisze, że nie wiedział mego mieszkania, o którem małego jakiego stragana jakakolwiek przekupka powiedzieć by mogła. Białkowski spotkał się z Czeczotem, Ziemięckim etc. Pewnie miło czas przepędził, a nasłuchał się np.: „Konstanty Zaleski we Lwowie rozstrzelany, dobrze mu tak, poco się w burdy lwowskie wdawał“ etc.

List Białkowskiego i Twój najpewniejby mię doszedł, rzucony do pudła. Wszakże był powierzony tym, co rozmową przejezdnego zabawiali. Szczęściem przez wzgląd na niego, napotkawszy Kotarskiego, list mu oddali, aby mi go doręczył. Tym sposobem list Twój, Obywatelu, 9. b. m. pisany, doszedł. Żartujesz sobie w nim: 45 letni mąż pisze o swem w przygodach wytrwaniu do 63 letniego nędzarza, aby jego wytrwałości drogę torował. Owóż doświadczenia mego rada: Wygotuj dzieło, trudź się z nim, brnij z plątaniny w plątaninę lat dziewięć; w dziewiątym roku wezwij Czerniewskiego, aby był wydawcą: a wtedy znajdzie się wydawca, co Czerniewskiemu pozazdrości. Albo też wykończ dzieło, pracą i sumptem naraź się na obietnice i oczekiwania lat parę, a na końcu własnym sumptem wydawstwo przedsięweźmiesz. To moje doświadczenie! Lwów, Poznań! — Do Lwowa czy listy moje dochodzą (frankowane)? nie wiem, bo odpisu nie mam. W teraźniejszem wydawnictwie mojem (z pożyczonym pieniądzem Panny Pilliet) za namową Melina i Causa, księgarzy, pomieściłem imię Milikowskiego, na trzeci mój list w tym interesie odpowiedzi nie mam, mamże mu przysłać? W Poznaniu od lat wielu, wielu, nieodpowiada. Drukuje się tam moja Polska wieków średnich. Tom I-szy, u Stefańskiego zaczęty, doznał całorocznej przerwy, przeszedł do rąk tom II-gi Kamieńskiego i Moracze-

*) Czytelnikom naszym, których może razić styl forma tych listów, spieszymy przypomnieć, co mówi sposobie pisania Lelewela Maurycy Mochnacki w swem Powstaniu Narodu Polskiego“ T. I. str. 224. „Lelewel — zytamy w dziele wymienionem — zapuszczając się v badania nad geografją starożytną, przymuszony ślęzyć nad foljałami, pisanemi barbarzyńską łaciną lub reczyzną średnich wieków, zaniedbywał swe wysłoienie, tak dalece, że i świadomsi rzeczy musieli czaem po kilka razy odczytywać jedną jego kartę, zastanawiać się nad okresami, jemu tylko właściwemi, zbierać ważne, rzucane niekiedy w nieładzie i bez związku ze sobą spostrzeżenia myśli. Krótko mówiąc, że ówczesne dzieła Lelewela trzeba było wertować, a poświęcający się tej mozolnej pracy, kończyli ją zawsze z tem ukontentowaniem wewnętrznem, lecz zarazem z tem znużeniem i opadnieniu na siłach, jakiego doświadcza, kto idzie w głąb ziemi dla znalezienia skarbu, a wybrnąwszy na powierzchnię z ogromnym ciężarem, długo potem odpoczywać musi“.

wskiego. Trzeci u nich od roku leży i Moraczewski pisze, że drukować nie myślą, szukają kogo innego i mnie wzywa, abym szukał. W tych dniach będący tu z Poznania obywatel, z Moraczewskim zażyły, upewnił mię, że Kamieński i Moraczewski swej drukarni z wolnej ręki ogłosili przedaż. Oto moje stosunki! Moim mecenasem lat dawnych był Eustachy Januszkiewicz, kiedy księgarzował; od lat kilku jest Schletter w Wrocławiu, bo przedrukowywa *Dzieje polskie* i za każde 1000 egzemplarzy, co półtora roku po 200 fr. przesyła. Pisał mi że wstrzymuje wszystkie (mnie z cienia nieznane) antrepryzy, ale przedrukowania w tym roku nie zaniecha. W takiem mojem położeniu zwodziłbym Cię, Obywatelu, gdybym jakie nadzieje wyszukania wydawcy czynił. A wieluż to w pięknem żyje mniemaniu, że mam wydawców na zawołanie i dla siebie i dla drugich! Mam rękopisma, których nie wiem gdzie odesłać, nadesłane pocztą — nie frankowaną — abym je wydał. Mam rękopism, od lat wielu powierzony, Karola Neu, którego subskrypcję z moją *Géographie du moyen âge* ujrzysz. — Ostatni to resurs mej subskrypcji z wyszłego atlasu sprzedaję! Jużci koszt zwróci, ale jeśli pracy coś nie przyniesie, zniszczy na zawsze zamierzone wydanie. Życzę sukcesu pewniejszego z projektowanej Twej prenumeraty. Ale, ale na kraj nie licz. Emigracja, jeśli prawdę odkryjesz, wycieńczona, a w niedostatku będącemu dużego męstwa i sknerskiego rachunku trzeba, aby przychód dochowywał. Jeśli chcesz powodzenia w prenumeracie, złudź, oszukuj, przybierz minę, żeś Czarta zasługi wielkie pokochał, daj tytuł temu pochlebcy, a w lot pieniężniki nasze ubiegać się będą na liście prenumeratorów figurować. A pfe! powiesz, to niegodna. Ale satyryczna na tytule apologja, podstępne podłechtanie próżności służebniczej mogłyby ujść za strategję polityczną. Na taki krok trzeba mieć dużo wesołego humoru — bodaj nam go brakuje.

Czytam w Demokracie, że centralizacja jest jedyną w emigracji władzą, która zdanie sprawy ze swych czynności dawała. Drukarnia panien Pinard powiada, że podobne wyrażenie jest strategją polityczną i aby oczy zamydlić. Lubliner, co ma wstręt do mydła, nie znalazł, czego pragnął, w zdaniu sprawy.

Pozdrowienie braterstwa
Lelewel.

Monsieur J. P. Janowski, rue de l'école polytechnique 3
Paris.

---

22. lipca 1899.

Dziś mi przynoszą Twój list z dnia 21. i w ten moment odpisuję. W kłopocie, jakimeś dotknięty, nie dziwi mię troskliwość wyrzucenia. Wszakże choćby się przyszło i nie ostać na stałym lądzie przez Bruxellę nie z drogi. Belgi sami z siebie nie wyrzucą. Małpowali oni chwilowo te środki i wstrzymywali się wnet. Dziś tego nie słyszymy co do naszych, sądzę tedy, że ani kwestji nie będzie o pobyt. Chybaby zaszły nadzwyczajne ze strony Ludwika XIX wymagania. Na drobniejsze wypadki mamy tu protektora, adwokata naszego, Lublinera, na zawołanie. Zamieszkasz sobie na przedmieściu, za rogatkami, tam i taniej i od grzeczności policyjnej dalej.

Pozdrowienia i uścisk
Lelewel.

Monsieur J. N. Janowski rue de l'école polytechnique 3
Paris.

---

22 stycznia 1852.

Na Wasz poprzedni z Londynu list rychło odpisałem. Dziś przyniesiony Wasz drugi okazuje, żeście odpisu mego nie odebrali. Czy Wasze listy przejmują? Będzie dla mnie ciężka, jeśli niniejszy nie dojdzie, próba. Wszakże zmieniacie mieszkania jak Cyganie i niedojście z tego pochodzić musi. Także o Sawaszkiewicza mieszkaniu nie będąc pewny, czy toż samo, załączam tu do niego pisany list. Racz dołożyć starania, aby go niezwłocznie doszedł. Jeśli się często widujecie, wręcz mu, jeśli widywanie się niepewne, a adres dobry, powierz pudłom. A jeśli adres nie taki, racz sprostować. W poprzednim moim szerzej opisałem jak Twego *protégé* spotkałem u Jastrzębskiego, a gdy mi opowiedział swą rzecz, powiedziałem: nadpsuta. Jakoż w kilka dni gdy do mnie zajrzał, na piśmie mu okazałem, że ten, od którego wszystko zależy, nie chcąc być z ministerjum w sprzeczności, z żalem wymówić się musi. Wszakże może znajdzie twój *protégé* środek, aby ministra przełamać.

Drugiego jakże serdecznie nie przyjąć, kiedy przypomina czasy dawne! Pierwsze widzenie się było zagmatwane i krótkie, bo wszedł trzeci. Dałem mu adres Ezechiela Staniewicza, Januszewiczowi nie znudzi się, ma mu nadejść pozwolenie powrotu do żony.

W poprzednim mym liście potrąciłem był Wasze o przyszłości Polski zwątpienie. Ja w tak smutnych kolorach jej sobie nie wystawiam, gdy patrzę, że świat dąży do jej zeszłych żywiołów, do wotów powszechnych, do elekcyjnego naczelnika, do władz reprezentacyjnych, do instrukcji gratis etc. Jeżeli te przec wieki były ścieśnione oporem jednych (możnych niedolą innych (wieśniaków) rozprzestrzenią się do całej populacji, jak własne. Nie marzm o demokracji gdzieś na zachodzie urodzić si mającej, dajmy życie gminnictwu własnem które żyło i większego może nabrać życia. Zł czynił, kto swoim poniewierał żywiołem, kt

zaniedbywał dźwigać go do stanowiska przyszłości. Zawszem to mówił i do dziś powtarzam i do zgonu powtarzać będę. O mój przeszły list upomnijcie się na poczcie wedle waszego przeszłego adresu, musi jeszcze być zatrzymany. Tu miesiąc leżeć powinien, a zalegają często bardzo wiele miesięcy. Tutejsza poczta ma swe niepospolite zalety, mówię to wielorakiem doświadczeniem.

Pozdrowienie
Lelewel.

Monsieur J. N. Janowski 4 Batmans Buildings
Solw square
London.

(D. c. n.)

Szkice z nad Niewiaży.

9)

Później przysyłano też urzędników rosyjskich, na przykład przy przeprowadzeniu reform sądowych w 1872 roku — prowadzenie sądów pokoju, a w 1883 roku sądów ogólnych wraz z przysięgłymi, ale byli to już ludzie inni. Dziś t. zw. sądownicy, to najlepsi Rosjanie, ludzie zwykle uczciwi, wykształceni, dobrze wychowani i bez tendencji politycznych; wśród nich znaleźli się tacy, którzy zasłużyli na powszechne uznanie i szacunek, n. p. b. prokurator przy sądzie okręgowym w Kownie. Wogóle sądownicy wyodrębniają się z ogółu urzędnictwa i nauczycielstwa rosyjskiego, z którymi mało co mają wspólnego; zwykle trzymają się oni zdala od życia tutejszych kółek rosyjskich, dla których postarano się stworzyć ognisko życia kulturalnego, o czem słów parę. We wszystkich miastach założono kasyna towarzyskie, t. zw. kluby, przy których winne istnieć i istnieją rzeczywiście czytelnie; ich cel — to szerzenie kultury rosyjskiej. Kasyna te otrzymują zapomogi od rządu, ale są pod nadzorem policji; uczęszcza do nich tylko urzędnictwo rosyjskie i to niezbyt wybredne. Zdarza się, że należą do nich miejscowi mieszkańcy Polacy, ale to zwykle ludzie z pod ciemnej gwiazdy, bez czci, honoru i poczucia godności osobistej. W lokalach tych stowarzyszeń dotąd jeszcze wiszą ogłoszenia: »Wzbrania się mówić po polsku«! Oprócz tych stowarzyszeń w celach towarzyskich, stworzono inne — w celach filantropijnych, ale filantropja jest u nas ściśle urzędową, rosyjsko-prawosławną, to też ogół uchyla się od udziału w tych towarzystwach. Istnieje ich kilka. Istnieją też towarzystwa niesienia pomocy uczącej się młodzieży przy gimnazjach męskich i żeńskich, oraz od kilku miesięcy przy szkole realnej w Poniewieżu; kierunek ich działalności spoczywa w ręku władz pedagogicznych, co czyni je środkiem niemal wyłącznym niesienia pomocy uczącej się młodzieży rosyjskiej. Rozumie się — o bezstronności, słuszności i sprawiedliwości mowy być nie może, przeto nie znajdują one stronników wśród naszego społeczeństwa, krom chyba ludzi o małej inteligencji, a jeszcze niższym poziomie moralnym. Zresztą o ich działalności chodzą pogłoski, których sprawdzić nie można, ale stanowczo uwłaczające ich zasadom i celom. Istnieje też w Kownie Tow. lekarskie, nie mające nic wspólnego z nauką, ale za to dużo z projektami »zrusyfikowania sztuki lekarskiej«, t. j. zwiększenia ilości lekarskiego personalu rosyjskiego; biorą w niem udział żydzi lekarze z pośród t. zw. »ruskich jewrejew«. Założono podobne towarzystwo i w Poniewieżu, ale po pierwszem posiedzeniu spoczęło ono snem wiecznym; nadmieniam tu, że jego inicjatorem nie był Rosjanin, ale człowiek miejscowy, człowiek bez żadnej narodowości, bez żadnej wiary i czci. Założono jeszcze towarzystwo niesienia pomocy i ochrony nauczycielom i nauczycielkom szkół ludowych; z początku składki płynęły obficie, lecz wnet ustały, gdy władze zaprzestały je popierać. Wogóle większość tych stowarzyszeń istnieje niemal tylko na papierze, jak mówią u nas z rosyjska. Wogóle życie kulturalne rosyjskie, pomimo wszelkich usiłowań, nie rozkrzewiło się i nie ogarnęło warstw wyższych, miejscowych; ogranicza się ono tylko na Rosjanach, podzielonych na różne drobne kółka towarzyskie, złożone wyłącznie z klasy urzędniczej i nauczycielskiej. Rosjan wolnych profesji u nas niema: niema ani jednego lekarza wolno praktykującego Rosjanina, niema już ani jednego adwokata, bo zamieszkałemu w Kownie sądy wzbroniły praktyki; niema też Rosjan ani wśród przemysłowców, ani wśród handlarzy. Spotykamy ich garstkę wśród właścicieli ziemskich; kilka, czy kilkanaście rodzin zamieszkiwało tu już od bardzo dawna, po r. 1863 osiedliło się zaledwie kilkunastu ludzi, n. p. w pow. poniewiezkim właścicieli ziemskich Rosjan, mieszkających na miejscu, jest tylko 3, oprócz jednej właścicielki. Tu można skreślić słów kilka o spełzłych na niczem usiłowaniach rządu stworzenia u nas większej i średniej własności ziemskiej, rosyjskiej. Skonfiskowane majątki rozdano urzędnikom rosyjskim,

ale ci dobra nadane spustoszyli, jak mogli, wycisnąwszy z nich wszystko, co tylko można było, t. j. sprzedano lasy na wyrąb, wyjałowiono grunty gospodarstwem rabunkowem i opuszczono zabudowania gospodarskie.

Takie gospodarowanie znany pisarz rosyjski Szczedryn (Sołtykow) skreślił temi słowy: »obrusił imienje i ujechał“. I rzeczywiście tak bywało.

(C. d. n.)

J. Syrokomla.

Z pism i książek.

Korony królów polskich napisał *Walery Eljasz Radzikowski.* Poznań — 1899. Treść cennego tego dziełka, ozdobionego licznemi rysunkami, omówimy szerzej w jednym z najbliższych numerów „Tygodnia“.

„*Gazeta Polska*“, wychodząca w Warszawie, umieściła w 50 rocznicę zgonu Chopina fejleton o mistrzu tonów pióra A. Sygietyńskiego. Znakomity pisarz i muzyk temi słowy kreśli charakterystykę twórczości Chopina: „Jest to poeta najindywidualniejszy i zarazem najbardziej narodowy. Nie śpiewa on z włoska, nie zamyśla się z niemiecka, nie nuci z francuska. Ktokolwiek go słyszy, nawet cudzoziemiec, uderzony jest odrazu cechą podwójną jego twórczości: forma odrębna w wypowiadaniu uczuć i duszy, to indywidualizm wśród muzyków, to Chopin sam; nastrój różnorodnych kompozycji, zarówno figlarnych, jak rzewnych, zarówno lirycznych, jak dramatycznych, to charakter kraju, który go wydał, to polskość, ujęta w dźwięki, rytmy, węzły harmoniczne“.

Sygietyński zaprzecza dalej stanowczo, aby na liryzm pewnych części jego utworów wpływały uczucia, żywione dla p. Gładkowskiej, Marji Wodzińskiej lub pani Sand.

„Dla takich natur artystycznych, dla takich poetów, wewnętrznie żyjących, jak Chopin, chwila jest tylko bodźcem mechanicznym, rodzajem guzika przy dzwonku elektrycznym, który odmyka przewód energiji. Jeżeli gdzie, to w Służewie *) należałoby szukać śladu twórczości Chopina, w tym lesie, który gdzieś w dali smugą ciemną obrzeża widnokrąg, w tym stawie, w którym słońce kąpie się na dnie, a liście drzew okalających stroją się na powierzchni w brylanty iskier migotliwych, w tym parku, którego olchy i graby odwieczne powtarzają sobie o zmierzchu lub w noc księżycową podania ludowe i zdarzenia romantyczne, w tym wietrze, żadną przeszkodą niepowściągnionym, który od północy ścina mrozem, od wschodu razi deszczem, od południa wieje wiosną, od zachodu miecie kwiaty, w tej woni czarującej, która wydobywa się z ziemi świeżo zasianej, w tych dźwiękach i rytmach pieśni ludowych, które nutą naprzemian wesołą i smutną, skoczną i rzewną, figlarną i tęskną płyną echem po rosie porannej i wieczornej, w tem pochutnywaniu tancerzy w karczmie, w tem zawodzeniu żeńców na niwie, a kosiarzy na łące, w tych odgłosach kajania się żałośnego w kościele wiejskim, w tym nastroju wytworności, przejmującej stale atmosferę dworu wielkopańskiego, do którego Chopin tak często w wieku pacholęcym zaglądał i do którego serce jego dopóty rwało się miłością cichą i stałą, dopóki nadzieja zawiedziona nie rzuciła go w ogień piekielny zmysłowości pani Sand.“

*) Posiadłość ziemska Wodzińskich.

W szeregu artykułów pt. „O Chopinie kilka nieznanych szczegółów“, drukujących sie obecnie w „Słowie“ warszawskiem Ferdynand Hoesik przytacza zasłyszane od Michała Herza następujące opowiadanie F. Wenzla, genjalnego muzyka, przyjaciela Liszta, Wagnera, Berlioza: „Zdarzyło się, że korzystając z pięknej pogody jesiennej, gdyż było to jakoś we wrześniu, przechadzałem się po Promenadzie. Naraz słyszę, że z otwartych okien jednego z poblizkich domów, i to z okien mieszkania moich znajomych, płyną dźwięki fortepjanu, dźwięki, które, gdym podszedł bliżej, brzmiały tak, że jak żyję nie słyszałem podobnej muzyki. Przystanąłem, a po chwili, poprostu upojony przecudną muzyką, muzyką, nie przypominającą żadnej innej, a wyższą po nad wszystko, co się znało dotychczas, pomyslałem sobie, że w ten sposób grać może tylko Chopin... Nawiasem mówiąc, nie wiedziałem zupełnie, że Chopin znajdywał się w Lipsku. Nie namyślając się ani chwili dłużej, wbiegłem na schody, zadzwoniłem, i rzeczywiście przekonałem się, że to Chopin tak grał na fortepjanie. Poznałem się z nim. Był to zresztą jedyny raz, gdzie go widziałem i słyszałem, wrażenia jednak, jakie wtedy na mnie uczynił, nie zapomnę nigdy... Nigdy!“

W pamiętnikach swoich „Histoire de ma vie“, pani Sand tak opowiada o twórczej pracy Chopina:

„Twórczość Chopina — pisze pani Sand — była zadziwiająca i nagła. Pomysły muzyczne przychodziły mu do głowy wówczas nawet, gdy ich wcale nie szukał, nie oczekiwał i nie przeczuwał. Przychodziły nagle, niespodzianie i to w kształtach już zaokrąglonych, wykończonych, wspaniałych. Czasami znajdował je, siedząc przy fortepjanie, czasem znów na przechadzce. W tym drugim wypadku, oczekiwał niecierpliwie końca rozrywki, byle jaknajprędzej dorwać się do fortepjanu i usłyszeć zachowane w pamięci pomysły muzyczne, Gdy to jednak już się spełniło, wówczas następowały ciężkie chwile pracy niezmordowanej, wahania się i opracowywania gorączkowego szczegółów kompozycji.

„To, co stworzył w myśli, jako całość gotową i wykończoną, później gdy miał już przelać na papier, analizował aż do przesady, a gdy szczegóły dane nie odpowiadały jego wymaganiom, wpadał w rozpacz prawdziwą. Zamykał się w swoim gabinecie, (w Nohant — majątku p. Sand), ślęczał całemi dniami nad swą pracą, płakał, rzucał się jak opętany, łamał pióra, często jeden takt po sto razy przerabiał.“

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.